



№ 27.

Bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Dzieci.”

Rok 1910.

W cyrku.

Leo był to wspaniały lew afrykański, który co wieczór popisywał się w cyrku, jeżdżąc na rowerze.

Pomyślcie tylko: taki prawdziwy lew, królewskiego rodu, zmuszony popisywać się przed gromadą ludzi, zwyczajną jazdą na rowerze! Nie, to było nie do wytrzymania!

Cóż z tego, że publiczność biła mu oklaski. Nawet uznanie tłumów nie osładzało przykrego uczucia, iż zajmuje on stanowisko zgoła nieodpowiednie królewskiemu pochodzeniu.



Leo, choć z niechęcią jeździł na rowerze.

Któregoś dnia zaczął głośno skarżyć się na swoją ciężką dolę, aż czarny niedźwiedź, który mieszkał w sąsiedniej klatce mruknął z humorem:

— Narzekać to ty potrafisz! Czemuż słuchasz, kiedy ci to nie dogadza? Niechby mnie spróbowali kazać jeździć na takiej paskudnej maszynie... Pokazałbym ja im...

I to mówiąc pogroził wielką, kosmatą łapą.

Leo westchnął żałośnie. Tak, niewątpliwie czarny niedźwiedź dobrze radził. Trzeba się było raz zbuntować i okazać swoją wolę, ale lew czuł, że się na ten energiczny krok nigdy nie zdobydzie. Całe życie słuchał i zginał potężny kark przed batem, nawet wówczas, kiedy kazano mu skakać przez rozpalone ognisko... pamięta dobrze, jak jedna iskra wpadła mu do oka i oślepiła je na zawsze... Ryczał wtedy z bólu, a mimo to słuchał i skakał.

Oprócz czarnego niedźwiedzia najbliższymi sąsiadami Lea był słoń Tom i zwinna małpka Noka. Co wieczór przed zaśnięciem lew prowadził z nimi poufną gawędę, która kończyła się zwykle wspólnem utyskiwaniem na życie.

Och, bo nietylko Leo miał prawo narzekać na swój los i czuć się nieszczęśliwym.

Taki Tom naprzykład, który pochodził również z królewskiego rodu, musiał co wieczór obnosić przed publicznością małą Norkę na grzbiecie. A małpie ta codzienna przejażdżka szkodziła bardzo na zdrowie. Dostawała zawrotu głowy i zdawało jej się ciągle, że spadnie z wysokości na ziemię.

Któregoś wieczora Leo długo zasnąć nie mógł. Jedna myśl uporczywie krążyła mu po głowie. Jakby wyzwolić się z tego nędznego, niewolniczego życia, a przynajmniej poprawić sobie dolę?

Noka śledziła jego zamyślenie, zabawiając się podrzucaniem kamyczka w górę, który łapała potem z niesłychaną zręcznością.

— Wiesz co, Leo?—odezwała się wreszcie—przyszedł mi jeden pomysł do głowy...

— Dziwię się bardzo, że ci wogóle mogło cokolwiek przyjść do głowy—odparł kwaśno lew, który był dnia tego w złym humorze.

— Nie bądź za dowcipny!—odparła Noka.— Czy myślisz, że małpa nie może równie dobrze myśleć, jak lew, co jeździ na rowerze?

— Milcz! — krzyknął lew, dla którego sama wzmianka o rowerze była nad wyraz przykrą.

— Nie złość się! Ot, lepiej posłuchaj mnie z uwagą! — odparła Noka.

— No, to mów, tylko prędko!

— Poczekaj, nie bądź taki gwałtowny! Najpierw pobudzę naszych sąsiadów, gdyż musimy odbyć walną naradę!

I Noka, wzięwszy kamień w łapę cisnęła nim w śpiącego słonia. Lecz kamień odbił się tylko od twardej czaszki Toma, który chrapał w dalszym ciągu w jaknajlepsze.

(Dokończenie nastąpi).

MIMI NA WSI.



Mimi pierwszy raz jest na wsi.
Zosia — jej siostrzyczka mała
Już gościowi wszystkie cuda
Polskiej wioski pokazała.
Wczoraj były po nad rzeką,
Gdzie terkocze młyn-staruszek,
Otoczony kwietnym sadem,
Pełnym wisien, pełnym gruszek.
Potem poszły w las cienisty
Na poziomki i jagody.
Tu, zmęczone, srebrny potok
Rzeźwiącemi poił wody.

Dziś od rana są na łące,
Pośród wonnych kwiatów, trawy.
Ach, dość będą do wieczora
Mieć tu śmiechu i zabawy!
To się chować pośród trzciny,
Z kwiatów spędzać osy, muchy,
To w dmuchawiec pfu! dmuchając
Srebrne w koło ronić puchy:
Dzień za dzionkiem szybko mija,
Niosąc wciąż radości nowe.
Jakżeż smutno będzie potem
Żegnać łąki, pola płowe.

Lublinianka.

KUPALNOCKA.

(Dalszy ciąg).

KIEDY TO BYŁO? GDZIE TO BYŁO?

Kiedy? Dawno, bardzo dawno temu, gdy naród Polan jeszcze w pogaństwie zostawał.

A gdzie? W książęcym dworcu Mieczysława w Poznaniu, dokąd, objąwszy rządy, przeniósł z Gniezna stolicę.

Któż to była biała knehini? Była to ukochana siostra Mieczysława I. Nie rozstawał się on z nią nigdy i zawsze przemieszkiwał razem. Zwano ją „Białą,” ale nie dla szat białych, boć zwyczajem onych czasów nosiły je wszystkie dziewczęta, nie dla włosów od lnu jaśniejszych, gdyż takie włosy często się spotykały, nie dla twarzy białej jako lilia, boć białe lico nie było i nie jest żadną osobliwością — jeno dla serca i duszy bielszych, niż świeżo spadłe śniegi. Serce to poprostu było anielskie.

Lubiła biała knehini wszystkie dziewczęta ze swego orszaku, ale najwięcej słodką, cichą Świętochnę. Z nią rozmawiała godzinami całemi zdala od drugich, z nią chodziła na jakieś dalekie i tajemnicze wycieczki, z nią śpiewała jakieś pieśni dziwne.

Gdzież wiodły owe wycieczki i jakie to były owe pieśni?

Het, het! daleko od dworca Mieczysławowego, w gęstwi ciemnego boru mieszkał stary pustelnik.

Znano go na dworcu, znano po chatach, bo też i tam zachodził od czasu do czasu, a zawsze z dobrą radą, z pomocą, z nauką. Uczył tego, co ludziom potrzebne było, a to jak ziemię uprawiać, a to jak chatę stawiać, a to jak płótna barwić w sokach roślinnych, jak tkać w krosnach cudne wzory. Czasami i do jego zachodzono pustelni. Rankiem stawały tam nieraz biała knehini i Świętochna.

Pustelnia był to nędzny szałas z gałęzi spleciony. Trochę suchego mchu w kącie—to posłanie, pniak w ziemię wbity—to siedzenie, kawałek nieheblowanej deski na drugim pniaku oparty—to stół, jedyne sprzęty pustelni. Na ścianie chaty wisiał znak wówczas jeszcze nieznanym w Polsce—wisiał krzyż! Krzyż z rozpiętą na nim postacią, pełną boleści, a taką cudną, tak pełną dobroci!

Ten krzyż przyciągał białą knehinią i jej druhnę najmilszą. O tym krzyżu przychodziły słuchać opowiadań i stopy gwoźdźmi przebite całować. Łzy gorące płynęły z oczu dziewcząt, gdy pustelnik opowiadał im o Bogu, Stwórcy świata i o Synu Jego umęczonym za grzechy ludzkie. Więc słuchały go z sercem trwożnie bijącym i łzami w oczach.

Lud cały trwał jeszcze w pogaństwie, a na tę białą polską gołąbkę już światło wiary spływać zaczęło.

Wiele, wiele razy późnym wieczorem, gdy drużyna przyboczna oddaliła się od księcia Mieczysława, a brat i siostra zostali sami, powtarzała mu biała knehini słowa pustelnika, a on słuchał opowiadania w zadumie głębokiej.

Z A B A W A.

Już słońce zachodzi. Złoto i purpura rozlały się po niebie... Olbrzymia, świecąca się tarcza zapada za bory.

Na łące pod lasem i dalej na wzgórzach tłum ludu. Przywlekli się starcy siwi, na wysokich kosturach wsparci, przyszły niewiasty zameżne z głowami owiniętymi w chusty białe i mężowie dorodni i młódź dziarska i dziewczęta w białych szatach, z zielonymi wiankami na rozpuszczonych włosach i dzieci mrowie.

Wszyscy z całej okolicy zebrali się na obchód święta Kupały.

Przygotowania ukończone... Wysokie stopy chrustu czernieją gęsto na łące, pęki smolnego łuczywa leżą w pobliżu. Nieco dalej widać różne zapasy przygotowane do posiłku: więc cebry pełne mięsiwa, stopy białych kołaczy, gliniane dzbany z miodem i piwem.

Cóż to za uroczystość zgromadziła tyle ludzi razem?

Była to uroczystość największa onemi czasy u pogańskich Słowian — święto Bel-Boga, to jest Białego Boga, słońca i dnia, zwane Kupałą. Obchodzono je we wszystkich ziemiach słowiańskich z dnia 23 na 24 czerwca, gdy dzień najdłuższy, a noc trwa parę godzin za ledwie.

Z chwilą, gdy ostatni promień słońca zgaśnie na niebie, trysną w górę płomienie z przygotowanych stosów. Tej chwili oczekują teraz wszyscy niecierpliwie. Geślarze trzymają geśle w pogotowiu, by jednocześnie z pierwszym błyskiem ognia w struny uderzyć, najsilniejsi z pomiędzy chłopców trą z zawrotną szybkością dwa suche kawałki drzewa jeden o drugi, aby je przez szybkie tarcie zapalić.

Bo odwieczne prawo pogańskie głosiło, że tylko taki ogień samorodny może płonąć na domowym ognisku. Strzeżono go też potem pilnie i niechętnie udzielano komu.

Patrzą, patrzą wszyscy na niebo. Złocista tarcza coraz bardziej w toń mroku się zaszywa... już tylko smugę widać... już tylko rąbek... już tylko nić wąziutką... Zniknęła wreszcie!

(Dokończenie nastąpi).

Z KOLONII LETNICH.

I.

JAŚ DOWÓDCA.

„Na kolonie” z Warszawy
Jedzie zastęp ciekawy.

Jedzie chłopców czterdziestu
W czas porzeczek, agrestu;

Rozsiedli się w wagonie,
Liczko ogniem im płonie,
A gawędzą, a prawią,
Jak się na wsi zabawią.

Zasiadł Tomek kaszłacy,
Józek wiecznie cierpiący
Na spuchnięte kolano,
Franek z głową związaną,
Przy nim Lutek niebogi,
Co to krzywe ma nogi.
Skrofuliczny Pawłowski
I Staś z twarzą jak woski.

Jaś Pawłowski rej wodzi:

— Posłuchajcie mnie, młodzi,
Jestem od was silniejszy,
Chociaż zdaję się mniejszy.

Wkoło wsi, gdzie będziemy,
Las jest wielki...—Ach, wiemy!

— W takim lesie, ot, dziatwo,
Wilka spotkać jest łatwo.

Wtedy stanę na czele,
Kijem natrę tak śmieie,
Że mu zęby wybije,
Aż wilk z bólu zawyje.

— Ja mam kozik!—Staś woła.
Nim i zabić człek zdoła;
Niechno stanie tak zbliżka,
Będzie koniec wilczyska!

— Wilk jest głupi i basta!
Cóż to, my, dzieci z miasta,
Mamy zaraz być tchórze?
Ja go z lasu wykurzę!

— Ja mam snulek, pętlice,
Jak za garło pochwycę,
To o ziemię nim zuce,
A Jaś wtedy niech^{ca} tluce!

— Nie pożywi się nami!
Będę bił, jak cepami!

— Ja mam gwózdź taki długi,
Jak nie chwyć maczugi,
Jak mu w czoło tu wbiję,
To już wilk nie ożyje,
Wnet wyciągnie kopyta!

— Ja go zarznę i kwita!

LEKCJA GIMNASTYKI.

Długi czas dzieci bawiły się „w mustrę,” Janek siedząc na drewnianym koniku komentował, a wszyscy go słuchali, nawet piesek Toto stał na dwu łapkach. Wreszcie Janek zmęczył się, więc rzecze do najstarszej siostry Irenki:



— Teraz ty wymyśl jaką wesołą zabawę!

— Dobrze! — odpowiada Irenka — zabawimy się w lekcję gimnastyki.

Ustawiła Irenka dzieci w rząd, jedno obok drugiego, a sama, stanąwszy przed nimi, zaśpiewała:

Gimnastyki uczyć was,
A więc stańmy wszyscy wraz!
Jaki zrobię ruch lub znak,
I wy wszyscy róbcie tak!

I podnosząc kilkakrotnie w górę to prawą rękę, to lewą, w sposób, jakby ciągnęła sznury i naśladując kominiarza, śpiewała:

Raz, dwa! raz, dwa!	Raz, dwa! raz, dwa!
Na dół i do góry!	Czysty komin już...
To ko-mi-niarz	Ko-mi-nia-rzu
Ciągnie tak za sznury.	Sznury swoje złóż!

Przy ostatnich słowach energicznie opuszczała ręce na dół.

Rodzeństwo naśladowało ruchy Irenki, ale gdy ręce podnoszone były nie jednocześnie, powtarzano to ćwiczenie po raz drugi.

Następnie Irenka naśladowała pracę szewca i pokręciwszy trzymanemi przed sobą paluszkami na „raz-dwa!” wyciągała na „trzy!” obie ręce, jedną na prawo, drugą na lewo, niby dratwę, to jest grubą nić, którą szewc szyje, przytem tak znów śpiewała:

Raz, dwa, trzy!	Bu-ci-ki,
Raz, dwa, trzy!	Trze-wicz-ki
Szewc szyje tak.	Potrzebne są.
Pewnie mu	Szew-czy-ku,
Ro-bo-ty	Szyj mocno!
Nigdy nie brak.	Niech się nie dra!

Gdy i to ćwiczenie szło już zupełnie dobrze, nastąpiła gimnastyka paluszków. Irenka, niby to robiąc pończoszkę, tak manewrowała paluszkami, że wszystkie po kolei były w ruchu tak u lewej, jak i u prawej ręki, przytem śpiewała wolno na nutę: „Pije Kuba!”

Stara babcia bierze druty	Róbmy wraz!
I robi pończoszkę,	Babunia pochwali nas.
I my ją też wyręczymy,	Raz, dwa, trzy, cztery!
Porobimy troszkę.	Raz, dwa, trzy, cztery!
Raz, dwa, trzy, cztery!	Szybko przeszedł czas.

Potem ręce wyciągnięte na bok podnosiła Irenka wolniuteńko do góry i łączyła je nad swoją głową, śpiewając:

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć
Tak ręce w górę wnieść!
Potem, jak ja robię:
Opuszczać znów obie!
Dość!... ruch już skończony,
A teraz... ukłony!

Przy ostatnich słowach Irenka ukłoniła się jednocześnie ze wszystkimi dziećmi.

Zabawa „w gimnastykę” podobała się dzieciom, często więc odtąd ją powtarzały.

Helena Bojarska.

S Z A R A D A.

*Trzecie z drugim — gród dawny
I w dziejach naszych sławny,
Pierwsze z trzecim w ogrodzie.
Wszystko przyjemne, byle nie o chłodzie.*